

Totalna transgresja. Niemcy i wiek XX

Wielkie zło rodziło zawsze pytanie o odpowiedzialność – kto, w imię czego i w jakim celu popełnił tak wielkie zbrodnie?

Najważniejszym doświadczeniem ubiegłego stulecia jest radykalne, totalitarne zło. Dziesiątki milionów zabitych, tkanka społeczna rozerwana w wielu miejscach świata na strzępy, ogrom cierpienia tych, których skazano na poniżenie, prześladowania, wreszcie na wegetację pozbawioną nadziei – to wszystko przerosło po wielokroć najgorsze momenty dotychczasowej historii ludzkości. Tak wielkie zło rodziło zawsze pytanie o odpowiedzialność – kto, w imię czego i w jakim celu popełnił tak wielkie zbrodnie? Pojęcie odpowiedzialności należy tu rozumieć wielorako. W pytaniu o odpowiedzialność za totalitaryzm chodzi przecież o kwestie polityczne, prawne, moralne, o ocenę kultur, w ramach których rodziły się totalitaryzmy. To teren wielkich dyskusji o kulturowym i historycznym kontekście powstania totalitaryzmu. Jakkolwiek byłyby jednak one skomplikowane i pełne kwestii trudnych i niejednoznacznych, krążą one wokół kontekstu kulturowego związanego z dwoma naszymi wielkimi sąsiadami – Niemcami i Rosją (Italię Mussoliniego zostawmy na boku, nie tylko z tego powodu, że nie jest ona naszą sąsiadką). To w tych kulturach, w tych narodach i w tych państwach idee totalitarne nie tylko istniały, nie tylko przekroczyły próg urzeczywistnienia, lecz także odniosły historyczny sukces, zwieńczony apokaliptyczną katastrofą i ludobójstwem. Nie zmienia tego faktu prosta konstatacja, że w obu tych krajach oprócz radykalnego zła istniała także wielka rzesza ludzi, którzy mu się z całych sił sprzeciwiali, którzy w tej walce stracili życie. Nie przeczy temu

faktowi także to, że oba te narody (rosyjski zresztą w o wiele większym stopniu) ucierpiały także same w wyniku totalitaryzmów zrodzonych w ich łonie.

Pytania o przyczyny i o odpowiedzialność obrośły nieprawdopodobną ilością literatury[1]. A jednak dzisiaj, u progu 2014 roku, w którym będziemy obchodzili zarówno dwudziestą piątą rocznicę naszej wolności, jak i setną rocznicę wybuchu pierwszej wojny światowej, szczególnego znaczenia nabiera jeden z wątków tych debat. Chodzi o niemiecki „spór historyków” z lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia[2]. Istotą *Historikerstreit* był właśnie spór o niemiecką odpowiedzialność za nazistowski totalitaryzm. Liberalną i lewicową opinię publiczną zachodnich Niemiec rozpałała do czerwoności teza Ernsta Noltego, historyka równie wybitnego, jak – od tamtej pory – kontrowersyjnego, który stwierdził, że nazizm był w istocie ideologiczną i polityczną odpowiedzią świata zachodniej burżuazji na zagrożenie ze strony bolszewizmu. Autor, który wcześniej wydał znakomitą, lecz nie cieszącą się zbyt dużą popularnością, pracę na temat źródeł zachodniego faszystwu, proponował usytuowanie Holocaustu w historycznym kontekście. Nie chodziło tu tylko o wskazanie na eksterminacyjne praktyki obecne za sprawą rewolucji francuskiej we współczesnej historii Europy. Celem było przede wszystkim wskazanie historycznego pierwszeństwa bolszewickiego ludobójstwa. „Eksterminacyjne praktyki” stosowane w jednym kraju mogą w specyficznych okolicznościach prowadzić do irracjonalnych i gwałtownych reakcji w krajach sąsiednich. Bolszewickie zbrodnie dokonywane w Rosji, wcześniejsze w sensie chronologicznym, doprowadziły do potwornej i irracjonalnej nienawiści do Żydów jako do zbiorowości obarczonej – w świetle nazistowskiej ideologii – odpowiedzialnością za komunistyczny totalitaryzm. Jak pisał Nolte: „Kto nie godzi się rozpatrywać hitlerowskiej eksterminacji Żydów w tym kontekście, ten być może kieruje się bardzo szlachetnymi pobudkami, ale fałszuje historię. [...] Oświęcim nie wynikał w pierwszym rzędzie z tradycyjnego antysemityzmu i w swej istocie nie był

tylko ludobójstwem – chodziło przede wszystkim o zrodzoną ze strachu reakcję na eksterminacyjne praktyki rewolucji rosyjskiej”. Zagłada Żydów w III Rzeszy była „reakcją albo zniekształconą kopią, a nie aktem inicjującym bądź oryginałem”. Dzisiejszy czytelnik tych słów łatwo może sobie wyobrazić reakcję przeważającej części zachodnioniemieckiej opinii publicznej na takie stwierdzenie. Do dzisiaj postać Noltego dla większości liberalnej i lewicowej opinii w Niemczech jest swego rodzaju synonimem faszysty, gorzej nawet – faszysty kulturalnego, faszysty kryjącego się za autorytetem uczonego. Nie pomogły zapewnienia Noltego, że potępia on Hitlera i III Rzeszę, że jednoznacznie odrzuca ideologię nazizmu. Jego wypowiedzi naruszały głęboko ugruntowany konsensus nie tylko republiki bońskiej, lecz także całej zachodniej Europy: Holocaust był nie tylko największą zbrodnią w historii ludzkości, lecz także rozcinał ją na dwie części. Wszystko, co wydarzyło się do roku 1939, wydarzyło się przed nim, wydarzyło się w świecie, w którym owo radykalne zło było możliwe. Wojna to okres rozpętania ostatecznych sił historii. Czas po 1945 roku to epoka nowa, niemająca już nic wspólnego z tamtym czasem, to epoka nowego początku, czas, w którym radykalne zło już nigdy nie powróci. To dlatego zrównywanie nazizmu i komunizmu, Auschwitz i Kołomy, stało się niedopuszczalne. Ostatnia wojna zmieniała się w cezurę radykalną, w moment najgłębszej i ostatecznej nie-ciągłości, po której ciągłość została na nowo zawiązana i pieczołowicie chroniona.

Co uderza w tym sporze po latach, gdy upadł już komunizm, gdy Polską jest wolna, a Niemcy nie są już „bońskie”, lecz „berlińskie” i zjednoczone? Odrzucenie perspektywy procesu historycznego uniemożliwia dyskusję nie tylko o odpowiedzialności za totalitaryzm – to bardziej zrozumiałe – lecz także o jego przyczynach. Jeśli bowiem odrzucamy radykalnie historyczny proces, to gdzie umieścić pierwsze ogniwo w łańcuchu przyczyn i skutków? Awantura wokół Noltego omija kwestię, która wydaje się tyleż oczywista, ileż ważna – wystarczy bowiem na chwilę odłożyć na bok spór o wyjątkowość Holocaustu i poważnie choćby przez moment potraktować tezę niemieckiego historyka,

aby dostrzec, że zawiesza on w istocie swoją w pewnej próżni historycznej. Jeśli bowiem nazizm był skutkiem, a bolszewizm – przyczyną, to arcyważne wydaje się pytanie o historyczne przyczyny i źródła samego bolszewizmu. Opowiadanie tutaj o rewolucji francuskiej wydaje się tyleż prostym, ileż niepotrzebnym zabiegiem historycznej kontekstualizacji, który pozwala ukryć zasadniczy problem, jakim jest niepokojąco bliskie usytuowanie obok siebie w łańcuchu historycznych przyczyn i skutków ogniwa rosyjskiego i ogniwa niemieckiego.

Na proste pytanie, skąd wzięła się władza bolszewików, odpowiedź brzmi: ponieważ w Rosji carskiej doszło do rewolucji. A dlaczego doszło do rewolucji? Ponieważ dawny ustrój załamał się w trakcie I wojny światowej. Te proste stwierdzenia trzeba mieć zawsze na uwadze, gdy przystępujemy do debaty na temat przyczyn rewolucji bolszewickiej. Tak, korzenie historyczne, filozoficzne i duchowe rosyjskiego komunizmu są niezwykle skomplikowane i bardzo głębokie – wielu polskich autorów, począwszy od Adama Mickiewicza, Zygmunta Krasińskiego, Jana Kucharzewskiego, Mariana Zdziechowskiego, Leszka Kołakowskiego, rzuciło już w przeszłości wiele światła na tę kwestię, ale zawsze i wszędzie przede wszystkim należy pamiętać o tym, że bolszewicy wygrali walkę o władzę, ponieważ dawna Rosja rozpadła się w trakcie wojny, która okazała się ponad jej siły. To pierwsza wojna światowa była warunkiem możliwości zwycięstwa Lenina i Stalina. Wojnę zaś rozpoczęły Niemcy, a raczej – żeby trzymać się historycznych faktów, chociaż rozpoczęły ją Austro-Węgry wypowiedzeniem wojny Serbii, za którą ujęła się Rosja, która miała gwarancje Francji itd., itp., to jednak przede wszystkim decyzje zapadające latem 1914 roku w Berlinie przekształciły ten właśnie, a nie inny konflikt bałkański (a było ich wówczas wiele) w wojnę europejską, a potem – światową. Naturalnie odpowiedzialność za wybuch wojny budzi kontrowersje nie tylko wśród historyków (spory trwają do dzisiaj); budziła je przede wszystkim dlatego, że wiązała się z karami, które zwycięzcy narzucili winowajcom. Chodzi tu nie tylko o reparacje czy zmianę granic, lecz także o

hańbę moralnego piętna agresora, która została przez zwycięskie mocarstwa zapisana w traktacie pokojowym. Nolte zatem, gdy odrzucił interpretację II wojny jako całkowitego zerwania ciągłości, jako ostatecznej i radykalnej nieciągłości, i gdy przywrócił logikę łańcucha przyczyn i skutków, ustanawia jednak początek totalitarnej sekwencji historii XX wieku w taki sposób, że pierwszym ogniwem staje się Rosja. Tak bliskie usytuowanie ogniwa rosyjskiego i ogniwa niemieckiego zdaje się sugerować, że rzecz jest bardziej skomplikowana.

Nie chodzi tu jednak o prostą zależność: Niemcy wywołały wojnę, w wyniku której doszło do rewolucji w Rosji i do zdobycia w niej władzy przez bolszewików doskonałych w „eksterminacyjnych praktykach”. Taka konstatacja wprawdzie podaje w wątpliwość tezę Noltego o nazizmie jako skutku wywołanym przez ludobójczy charakter bolszewickiej rewolucji i bolszewickiej państwowości, jednak jest to zależność o charakterze – ujmijmy to tak – słabym. W tej perspektywie radykalne zło narodziło się niejako z przypadku, jako niezamierzony, przygodny efekt wojny, którą rozpętały wilhelmińskie Niemcy. Ponoszą one wówczas odpowiedzialność, ale jest to odpowiedzialność pośrednia. Bycie agresorem, stroną rozpoczynającą brutalną wojnę, to wprawdzie historyczny grzech, jednak nie jest to grzech najcięższy, skoro ta kategoria zastrzeżona została tylko dla radykalnego zła totalitaryzmów. W końcu karty historii pełne są relacji o agresorach, ale ludobójstwo na wielką skalę wydarzyło się tylko w czasach Hitlera i Stalina.

A jednak wydaje się, że można wskazać na warstwę, w której odpowiedzialność Niemiec za radykalne zło ubiegłego stulecia jawi się jako stwierdzenie mocne – i to także wtedy, gdy zgodzimy się na historyczne pierwszeństwo bolszewickiego ludobójstwa w stosunku do ludobójstwa nazistowskiego. Rozstrzygający jest tutaj nie tyle chronologiczny ciąg zdarzeń, które doprowadziły do wojny oraz późniejszy jej przebieg, ile

charakter tej wojny, który po niemieckiej stronie przejawiał się od samego jej początku. To sprawa kluczowa, dlatego że wiedza na temat tamtej wojny jest spowita w stereotypowe klisze i przesłonięta stuletnim dystansem. Pierwsza wojna jawi się zatem już to jako tragikomiczna opowieść o zmaganiach epoki aeroplanów pokrytych płótnem, czołgów poruszających się tylko trochę szybciej od piechurów i wąsatych marszałków, już to jako bezsensowna jatka, rzeźnia zastygła w okopach północnej Francji, pełnych błota, ekskrementów i rozkładających się ciał. Za każdym razem zaś jest ona już dawna, nie nasza, odległa, niezrozumiała i trochę pozbawiona sensu. W przeciwieństwie do ciągle aktualnej i żywej jako temat II wojny światowej.

Niemcy rozpoczęły wojnę światową w przekonaniu, że będzie to konflikt odmienny od innych. Nie chodziło w nim tylko o granice, nabytki czy interesy. Był to konflikt od samego początku postrzegany przez Niemców jako egzystencjalny i zarazem rozstrzygający. Spóźniony przybysz koncertu mocarstw chciał raz na zawsze ustanowić nowe reguły porządku nie tylko w Europie, lecz także na świecie. Niemcy – w co bowiem trudno uwierzyć – mieli obok wielkiej (jak to się wówczas mówiło) „buty” także wielkie poczucie krzywdy: świat nie chciał uznać ani wielkości Niemiec, ani też pozycji, jaka z tą wielkością musiała się wiązać. To dlatego wojna, która rozpoczęła się latem 1914 roku, budziła w Niemczech taki entuzjazm. Raz na zawsze miało się w rozstrzygającym „albo-albo” zdecydować posłannictwo Niemiec, raz na zawsze i ostatecznie miał się zrealizować projekt porządku uwzględniającego wielkość Niemiec oraz ich słuszne prawa do dominacji. Nie myślały tak tylko miliony zwykłych Niemców, myśleli też subtelni intelektualiści, jak Tomasz Mann – ten sam, który wkrótce jako jeden z pierwszych rzucił wyzwanie Hitlerowi; intelektualiści, którym nie tyle chodziło o polityczną hegemonię, ile o ostateczny triumf niemieckiej „kultury” nad francusko-anglosaską „cywilizacją”.

Wojna, która miała przynieść ze sobą ostateczne rozwiązanie wszystkich palących kwestii, która miała znieść wszelkie przeszkody stojące na drodze do niemieckiego ładu powszechnego, nie mogła być prowadzona w tradycyjny sposób. Tu właśnie leży prawdziwa przyczyna wyjątkowego charakteru I wojny światowej, wojny, która uruchomiła totalitarną sekwencję XX wieku. Wojna o wszystko, o panowanie powszechne, musiała charakteryzować się duchem totalnej transgresji – przede wszystkim norm i wartości. To właśnie w tej sferze, a nie we wtórnej do niej sferze militarnych, organizacyjnych i kulturowych potwornych innowacji, leży klucz do zrozumienia przyczyn totalitaryzmu. I to właśnie Niemcom przypadła w udziale rola tych, którzy pierwsi dokonywali totalnych transgresji. To oni pierwsi przekraczali normy, zwyczaje i granice dawnego świata, to oni dokonywali pierwszych kroków w spowitym ciemnością i cierpieniem terytorium totalnego terroru dokonywanego w warunkach rozwiniętej nowoczesności. W trakcie wojny można wskazać cztery takie punkty, które ukazują ducha niemieckiej totalnej transgresji, wyrastające z przekonania, że nie tylko można, ale i należy zrobić rzeczy dotąd niewyobrażalne, aby osiągnąć ostateczny cel wojny.

Pierwszy z tych punktów to los Belgii. Nie chodzi tu o zwykły fakt inwazji na neutralną Belgię, który dla rządu brytyjskiego stał się formalnym powodem wejścia do wojny. Powiedzieć, że armia kajzera odegrała tu rolę agresora, to banał wobec oczywistej wymowy faktów (jest to notabene zawsze decydujący i zarazem najprostszy argument, kończący nużące spory o odpowiedzialność za wojnę – jak to ponoć ujął Clemenceau, zwracając się do jakiegoś Niemca, protestującego przeciwko wpisaniu do traktatu pokojowego winy Niemiec za rozpętanie wojny: „Chyba nie chce pan powiedzieć, że to Belgia napadła na Niemcy?”). Chodzi przede wszystkim o charakter tej agresji. A był on nieprawdopodobnie jak na ówczesne standardy brutalny. Ponieważ armia niemiecka chciała jak najszybciej przejść przez terytorium belgijskie, aby oskrzydlić Francuzów, z całą bezwzględnością karała wszelki cywilny i

partyzancki opór Belgów. Ponadto wciąż żywe były legendy o „wolnych strzelcach” zabijających z ukrycia żołnierzy Bismarcka we Francji w 1870 i 1871 roku. Dlatego tym razem niemiecki sztab generalny przygotował uprzednio dyrektywy, które w najbardziej brutalny sposób miały zduścić wszelki opór. Zrodziło się przedziwne sprzężenie zwrotne: niemieccy dowódcy z góry wiedzieli, że będzie opór, dlatego też gdy wkraczali do każdej miejscowości w Belgii, od razu brali zakładników. Kwestią czasu było tylko, żeby przewidywania uzyskały jakieś podstawy – wtedy zakładników rozstrzeliwano. Z perspektywy doświadczeń II wojny światowej skala tych zbrodni wydaje się mała, jednak wówczas robiła w całej Europie – ba! na całym świecie – wstrząsające wrażenie. Rozstrzelanie tysięcy cywili, w tym kobiet i dzieci, tylko po to, aby sterroryzować Belgię i aby zyskać na czasie w rozstrzygającym boju z Francuzami, było czymś wówczas niewyobrażalnym w cywilizowanym świecie.

Później przyszły inne wydarzenia, inne granice wyobraźni i moralności, także przekroczone przez Berlin. Zasygnalizujmy najważniejsze czy też najbardziej wówczas wymowne: chodzi tu o gazy bojowe, których Niemcy jako pierwsi zaczęli używać na początku 1915 roku (złamali tym samym konwencję haską z 1907 roku), oraz o nieograniczoną wojnę podwodną, również rozpoczętą w 1915 roku. Potworna symbolika związana z gazem trafia nam do wyobraźni za sprawą Holocaustu. Inaczej jest z nieograniczoną wojną podwodną. W trakcie pierwszej wojny światowej nie znano jeszcze świata, w którym cywile są na równi z żołnierzami celem ataku militarnej maszyny. Pod tym względem konflikt, który wybuchł w 1914 roku, był przedziwną mieszaniną XIX i XX wieku. Nikomu wówczas, nawet kaiserowi, nie przyszło do głowy atakować z zaskoczenia, dlatego też wojna wybuchała – w co trudno dzisiaj uwierzyć – kilka tygodni, gdyż tyle trwał dyplomatyczny kontredans pomiędzy najważniejszymi stolicami. A kiedy już zapadała decyzja o przystąpieniu do wojny, to ciągle uważano, że należy ją formalnie wypowiedzieć, stąd w relacjach tamtych wydarzeń jest pełno opowieści o tym, jak to ambasadorowie

w galowych mundurach uroczyście wypowiedzieli wojnę i jak te słowa były przyjmowane przez upelnomocnionych przedstawicieli odpowiednich rządów[3]. Dlatego, chociaż to dziwaczne nam dzisiaj się wydaje, więcej skrupułów i wahań spowodowała w Berlinie propozycja zatapiania bez ostrzeżenia wszystkich statków handlowych i pasażerskich płynących do Anglii niż projekt użycia gazów bojowych. Było to rażąco „nierycerskie” zachowanie, które przy tym dodatkowo naruszało interesy państwa neutralnych ze Stanami Zjednoczonymi na czele.

Użycie gazów bojowych i wojna podwodna – wstrzymana wkrótce po zatopieniu wielkiego liniowca transatlantyckiego „Lusitania”, z wieloma obywatelami USA na pokładzie (w 1917 wznowiona), nie jest tak wymowne w związku z tezami Noltego, jak czwarty punkt z listy totalnych transgresji dokonanych przez Niemcy w trakcie wojny. Tym czwartym punktem jest pomoc, jaką Berlin okazał Leninowi i jego partii w dziele rewolucji rosyjskiej. Każdy słyszał o „zaplombowanym wagonie”, którym przewieziono Lenina ze Szwajcarii do Rosji, aby mógł obalić carat. W istocie jest to obraz bałamutny – Niemcy znów występują w nim jako rodzaj pośredniej przyczyny, zaledwie pomocników. W istocie przerwienie Lenina wraz z najbliższymi współpracownikami do Rosji stanowiło tylko zwieńczenie planu, któremu władze w Berlinie poświęciły wiele czasu, uwagi i pieniędzy. Prawda, imperium carów rozpadało się samo pod wpływem klęsk i strukturalnej słabości; prawda – rewolucja lutowa była spontanicznym aktem gniewu i rozpaczcy społeczeństwa umęczonego wojną. Jednak rząd rewolucyjny Kiereńskiego chciał kontynuować walkę i dotrzymać zobowiązań sojusznicych wobec zachodnich demokracji. Tylko bolszewicy dawali gwarancje, że wycofają Rosję z wojny, że naprawdę ją powalą jako państwo i sojusznika Zachodu. I taka była istota wsparcia, jakiego wywiad niemiecki udzielił im w tym przedsięwzięciu. Przez cały okres „kierieńszczyzny” otrzymywali oni wsparcie finansowe i polityczne od Niemiec, wsparcie, które docierało do nich także już wcześniej, ponieważ Berlin chwycił się każdej

okazji, aby osłabić Piotrogród i Moskwę. Nie o żaden „zaplombowany wagon” zatem chodzi, ale o realne wsparcie niemieckie, które umożliwiło Leninowi ostateczny triumf. Nigdy nie dowiemy się, jak potoczyłyby się losy Rosji Kiereńskiego bez tego wsparcia, ale można uznać, że ta pomoc stanowiła istotny czynnik w biegu rosyjskiej historii.

Tu leży klucz do kwestii postawionej przed laty przez Noltego – nie chodzi przy tym o samą kolejność wydarzeń, o to, że to niemiecki wywiad, niemiecki Sztab Generalny i niemiecki rząd przyczyniły się w istotny sposób do zwycięstwa bolszewików w Rosji. Chodzi o to, że w serii totalnych transgresji dokonywanych przez nich w trakcie wojny, ta – chociaż wtedy nie zdawali sobie pewnie z tego sprawy – okazała się najbardziej brzemenna w skutki. Zrobili to dlatego, że skoro prowadzili wojnę o wszystko, o totalną dominację, to byli gotowi sięgnąć po każdą broń, nawet najbardziej straszliwą. W tym sensie bolszewicy są jak gazy bojowe – w jednym i w drugim wypadku mamy do czynienia z bronią masowego rażenia, z bronią epoki totalitaryzmów. Dla osiągnięcia swoich wojennych celów ludzie kierujący wówczas Niemcami gotowi byli nie tylko na obalenie rządu rosyjskiego, który był im wrogi – gotowi byli uruchomienie procesu, u którego końca tkwiła zagłada dotychczasowego społeczeństwa, dotychczasowej kultury i dotychczasowej cywilizacji. Lenin, Trocki, Zinowiew, Stalin, Dzierżyński stanowili takie samo zagrożenie dla świata jak gaz musztardowy. Cóż z tego, że zabrakło im wyobraźni, aby przewidzieć, że przyniesie to także zagładę ich własnego społeczeństwa, ich kultury i cywilizacji? Sposób, w jaki rozpoczęli tę wojnę latem 1914 roku i w jaki ją kończyli w 1917 i 1918 roku, przesądził o tym, że uruchomili oni totalitarną sekwencję XX wieku: wojna zniszczyła dawną Rosję, umożliwiła rewolucję i zwycięstwo bolszewików, dla których ideologiczną odpowiedzią stali się faszyci i naziści.

Nolte ma rację, gdy wskazuje na logikę tej sekwencji, myli się jednak, gdy zdejmuje z Niemiec odpowiedzialność za jej uruchomienie. Czyni tak, ponieważ jest niemieckim patriotą, który przeklina Hitlera za to, że ściągnął na Niemcy dziejową katastrofę i historyczną hańbę; przeklina w nim zbrodniarza, którego szaleństwo kosztowało naród – jak pisał Andreas Hillgruber, inny uczestnik „sporu historyków” – utratę „niemieckiego wschodu”. Jeśli jednak niemieckie ogniwo totalnych transgresji jest wcześniejsze od bolszewickiego, to Hitler nie wygląda na szaleńca i zbrodniarza wyizolowanego z łańcucha dziejowych przyczyn i skutków. Jest on – prawda, że spotworniałym i monstualnym, lecz jednak – spadkobiercą ducha ożywiającego Niemców w przededniu I wojny światowej. Powinniśmy o tym pamiętać i myśleć właśnie teraz, gdy zbliża się setna rocznica pierwszego wydarzeń z lata 1914 roku.

Dariusz Gawin

[1] Por. obszerny tom ukazujący stan badań i omówienie literatury: J. Joll, G. Martel, *Przyczyny wybuchu pierwszej wojny światowej*, przeł. P. F. Frankowski, Warszawa 2007

[2] Por. *Historikerstreit. Spór o miejsce III Rzeszy w historii Niemiec*, wstęp J. Holzer, red. M. Łukasiewicz, Londyn 1990. W tym zbiorze zamieszczono najważniejsze głosy w debacie – oprócz eseju E. Noltego znalazły się tam m.in. teksty A. Hillgrubera, Ch. Meiera, J. Habermasa, E. Tugendhata. Do sprawy powrócił też m. in. „Przegląd Polityczny” w bloku zatytułowanym *Europejska wojna domowa*, por. „Przegląd Polityczny” nr 60/2003, w którym zamieszczono teksty Ch.S. Maiera, E.Noltego i D.Trierweilera.

[3] Nieoceniona w oddaniu tego przedziwnego splotu anachronicznych obyczajów i nowoczesnych instrumentów jest Barbara Tuchman i jej znakomita książka *Sierpniowe salwy*; por. B. Tuchman, *Sierpniowe salwy*, tłum. M. i A. Michdejowie, Warszawa 1995; tam też można odnaleźć informacje na temat niemieckiego terroru w Belgii w 1914 roku.